

Szukam swojej lodówki.

Biednemu jednak zawsze wiatr w oczy. Kiedy po zaciętym boju półfinałowym z Holandią ktoś krzyknął: „Jedziemy do Warszawy! Koniec świata!”, wszyscy śmiali się w głos i wlewali w gardła złoty trunek z zielonych butelek, świętując historyczny sukces Polaków – pierwszy awans do finału Euro! Cóż. Nikt nie jest prorokiem w swoim kraju.

Bóg najwyraźniej jednak uznał, że to wystarczająco wzniosła i niepowtarzalna chwila. Dlaczego, do cholery, nie mógł poczekać 45 minut? Dlaczego w historii zapisane zostało „Polska nigdy nie zdobyła Mistrzostwa Europy w piłce nożnej”? Niepotrzebnie tyle wkuwaliśmy przez długie dwanaście lat edukacji o dziedzictwie kultury Majów, ich kalendarzu i przepowiedniach. W najważniejszej sprawie machnęli się o dobre pół roku. Każde dziecko wie, że miało to być dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dwunastego roku. Jest oto pierwszy lipca. Trwa narodowa gorączka futbolowa. Setki tysięcy kibiców ściągają do Warszawy w nadziei na drugi cud nad Wisłą, sprzedaż szalików reprezentacji wzrasta o pięćset procent, wszelakiej marki piwa o osiemset, trzy czwarte Polaków wywiesza w oknie biało-czerwone flagi z Tyskiego, kibice Legii, Wisły, Lecha, Motoru, Avii, Zawiszy Garbów, Izolatora Boguchwała jednoczą się w ten cudowny dzień jak nigdy przedtem, nikt niczego się nie spodziewa, a tu nagle – łup: w przerwie meczu finałowego naszego wyczekiwanego od lat turnieju na pięknym, napawającym dumą czterdzieści milionów obywateli Stadionie Narodowym w Warszawie przy bezbramkowym remisie Polaków z Niemcami na trzęsących się z emocji nogach wychodzę z pokoju w celu wydobycia z lodówki uprzednio schłodzonej Perełki Chmielowej (patriotyzm przede wszystkim, nie będzie Niemiec pluł nam w twarz jakimś Carlsbergiem), butelek cztery, i co? Jestem w przedpokoju, kiedy kończy się świat.

Czesław Niemen na poczekaniu wymyślił bardziej aktualną wersję swojego przeboju. Siedzi teraz, czubek, niedaleko sterty złomu i śpiewa rzewne „Dziwny jest ten raaaj...”. W zasadzie się z nim zgadzam. Zaiste, dziwne rzeczy się tu dzieją. Stevie Wonder na ten przykład przejrzał i zobaczył, jak bardzo się pomylił, śpiewając „Isn't she lovely”. Kraj miodem płynący to to nie jest. Jak na tę chwilę, na środku leży kupa lodówek, pralek, kuchenek mikrofalowych, skuterów i tego typu sprzętów, z którymi zakończyli swój na świecie zbożny pobyt (przy okazji, wreszcie odnalazł się, do tej pory anonimowy, autor Bogurodzicy; zabiedzony do granic możliwości mnich w nędznych łachmanach - swoisty poeta przeklęty...) wszyscy jego obywatele. Wszechmocny chyba nie miał pomysłu, co z nimi zrobić. Albo to jakieś niedociągnięcie wiecznego planu. Obiecywano krainę wiecznej szczęśliwości. Nie jestem szczęśliwy. Gdzie mój zimny browarek, zapytuję? Muszę szybko znaleźć swoją chłodziarko-zamrażarkę. Nie będzie łatwo. Swoją drogą, niezłe graty ludzie w domu trzymali...

Właśnie zastanowił mnie fakt, dlaczego założyłem, że jestem w raju. Im dłużej się przyglądam, tym mniej jestem tego pewien. Po co komu w raju zepsuty sprzęt RTV/AGD?

Sąd został odłożony do odwołania z powodu zamieszek. Bóg boi się pokazać, także na razie koniec jakby niekompletny. Polacy grożą mu wywiezieniem na taczce, ewentualnie blokadą dróg (ładnych, prostych dróg bez dziur – chociaż nie można narzekać, polskie trzydzieści kilometrów autostrad zbudowane w ostatnich trzech latach nakazuje się cieszyć), Niemcom jest wszystko jedno (kończą przecież świat jako jego mistrzowie), reszta świata patrzy z boku i ze zrozumieniem kiwa głową. Ale decyzja jest chyba nieodwołalna. Trudno byłoby Bogu cofnąć to wszystko – transportować obie drużyny, trenerów, rezerwowych, asystentów, sędziów, asystentów sędziów, kibiców, pseudokibiców, komentatorów, operatorów i tak dalej na stadion, oba narody – polski i niemiecki – do pubów, ogródków

piwnych, przed telewizory, na miejskie place z telebimami, amerykańskich żołnierzy do Iraku, Tybetańczyków do chińskich więzień, wietnamskich rolników na pola ryżowe, bułgarskich rolników na pola pszenicy, angielskich rolników na pola golfowe, i tak dalej, i tym podobne. Logistycznie ciężkie i złożone przedsięwzięcie. Ponadto Bóg słynie przecież z żelaznej konsekwencji.

Cholera. Znowu coś nam się należało i znowu nie ma. Ebi strzelił taką piękną, piękną bramkę. Co z tego, że był na minimalnym spalonym? Czym jest metr w obliczu wieczności? To takie niesprawiedliwe. Graliśmy jak nigdy. Nie wygraliśmy jak zawsze. W takim momencie, no. Nie potrafię się z tym pogodzić. Zresztą nie ja jeden. Polska kadra siedzi nieopodal, Borubar smętnie podbija piłkę czubkiem głowy, Lewandowski dokonuje oględzin paznokci prawej dłoni, Zahorski swoje gryzie. W oczach Jacka Krzynówka lśni ból. Nigdy wcześniej nikt nie widział w nich takiego ożywienia. Ebi najprawdopodobniej miota przekleństwami, ale pewien nie jestem, nie znam holenderskiego. Leo zaś zachowuje olimpijski spokój.

To wszystko bez sensu. Duch słowiański nakazuje w takich chwilach się napić. Ale, do diabła – czego?!

Gdzie jest moja lodóweczka? Gdzie moja perełka złocista, mój skarb w płynie? Zaiste, zrozumiałem, dlaczego przez wieki ludzie bali się końca świata. Co prawda, jak do tej pory nie ma ognistych opadów, gradobić, siarczystych burz i innych apokaliptycznych atrakcji... Ale nie ma też czego się napić, nie ma co zjeść, nie ma gdzie spokojnie spocząć. Nie ma złotych medali na szyjach naszych chłopców. Z Kononowicza wszyscy się śmiali, a wychodzi na to, że miał rację, wypowiadając sławetne „nie będzie niczego”. Gdzie moja lodówka, niech to wszyscy święci!...

To bez sensu, nigdy jej tu nie znajdę. Co za ogromna, nieprzebrana otchłań złomu. Aż żal, że tu gdzieś nie ma skupu. Beznadzieja bucha mi z uszu. Miast lodówki znalazłem Wojtka z otwieraczem w prawej dłoni. (W lewej miał TV Pakę Lays'ów, ale szybko zeszyły, nie ma się co rozwijać.) Wojtek to dobry kumpel. I ma ten sam problem. Wspólne problemy zbliżają. Co dwie głowy, to nie jedna. Razem raźniej. W kupie siła. I tak dalej.

Ale oto stała się światłość.

Bóg pragnie wygłosić orędzie. Tłum niespokojnie przemieszcza się w stronę promieni. Ktoś desperacko krzyczy:

- Boże, why?!

- For money – gdzieś z tumultu rzuca nonszalancko, niby to dowcipnie (a może po prostu automatycznie) Leo B. Ale jakoś nikt się nie śmieje, padają ku niemu raczej soczyste inwektywy i spojrzenia pałające żądzą linczu. Doprawdy, nikomu tu nie jest do śmiechu.

Poza Bogiem. Ten rechocze nerwowo, aż łzy ciekną mu nieopanowanym strumieniem. Chyba dla kurażu tak się maskuje. Nie ma się z czego cieszyć, oto przed nim niezliczone rzesze mieszkańców świata wszystkich miejsc i czasów. Będzie musiał się ostro tłumaczyć.

Zgromadzonych ogarnia zniecierpliwienie. Słyszą znaczące chrząknięcia, posapywania, przestępowanie z nogi na nogę. Powietrze przeszywa odgłos tupania kilku milionów ludzi w rytm „We will rock you” Queen.

A Bóg, uspokoiwszy się, w końcu ukazuje się. W zasadzie, trochę oszukuje, bo głównie widzę bijące po oczach świetliste promienie i trudno mi stwierdzić, czy rzeczywiście zostałem stworzony na jego podobieństwo. Wyciąga ku nam ramiona i łka ze wzruszenia.

- Różnie to między nami bywało – przemawia drżącym głosem – ten potop, plagi i tak dalej, ale... Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam – miłujcie się, jak ja was umiłowałem! – pieje w ekstazie przez łzy spływające mu po policzkach.

Wtedy ubrany na biało przy fortepianie tego samego koloru zasiada Lennon w lennonkach i zaczyna grać swoje „Imagine”. Nie wiadomo skąd pojawia się w otoczeniu precudnej urody cherubinów Yoko Ono. Robi się sielsko, hippisowsko, spokojnie i pacyfistycznie, ludzie wszelkich ras padają sobie w objęcia, wszyscy nuca, rzeżą, śpiewają najlepiej jak umieją sławetny refren, kotyszą się złączeni ramionami i w zasadzie sceneria zamienia się w idealną na koniec świata u Dobrego Ojca, gdy nagle ktoś woła szyderczo:

- No wszystko pięknie, ale co z naszym meczem?

Atmosfera pryska jak bańka mydlana.

Beatles zamiera nad fortepianem. Jego żona historycznie rzuca w eter bezsilne „damn it!” i wraca za kulisy, skąd przed chwilą wychynęła. Cherubini za nią. Bóg w nerwach pogryza wypielęgnowane paznokcie, szukając w swej wszechmocnej głowie odpowiedzi na pytanie mojego rodaka. Rozjuszony tłum powraca do skandowania szlagieru Queen. Freddie Mercury, pałając chęcią pomocy, wdziera się na scenę, wrywa mikrofon Lennonowi i staje się głosem przewodzącym zdenerwowanemu chórowi.

- W zasadzie... – nieśmiało zaczyna nagle Bóg, a wszystkie niepokojące odgłosy natychmiast milkną. – W zasadzie... Ten koniec świata to wynik mojej pomyłki.

Odpowiada mu jęk zawodu, rozczarowania, zdumienia, zaskoczenia, złości, niezadowolenia i kilku innych uczuć.

- Chciałem wam spuścić tylko burzę, żebyście w razie czego, no wiecie – mruga w kierunku Krzynówka i kompanów – żebyście mogli powiedzieć, że murawa była za śliska...

Cała polska kadra jak na komendę spuszcza głowy w celu ukrycia rumieńców wstydu. Leo ostentacyjnie drapie się po czole.

- Ale pech chciał, akurat wtedy Ebi strzelił tę nieszczęsną bramkę... Aż podskoczyłem i zakrzyknąłem – koniec świata! Polacy prowadzą! No ale siedzę, oglądam dalej, nadzieić się nie mogę, aż o tym deszczu zapomniałem. I przyszło do przerwy, a ja nie mogę sobie przypomnieć, co to miałem zrobić, ale podchodzi do mnie Piotr i mówi „Panie, Tyś wspominał coś o końcu świata”. I myślę sobie, rzeczywiście, racja. I klasnąłem w dłonie, zawołałem Johna i Yoko, żeby się przygotowali...

Złowrogie buczenie przesywa powietrze. Kibice zamieniają się w hodowców tulipanów, wszystkie butelki tracą dno... Sam się zastanawiam, jak wyrazić swój ból. Wojtek otwiera szczyryk.

Bóg wzdryga się.

- Spokojnie, kochani – ucisza tłum słowem i gestem dłoni. – Rozumiem wasze bezbrzeżne rozczarowanie, bo nieopatrznie przerwałem wam w najważniejszym momencie. Ale, ale! Wszystko da się jeszcze naprawić! Hubercie, jak nasza murawa?

- W gotowości, panie – odrzeka niepozorny człowieczek w aureoli.

- Zaraz, zaraz... – ślad myśli nawiedza buntowniczą twarz jednego z kibiców z wymalowaną antyalergicznymi farbami biało-czerwoną flagą na policzku – jak to: da się naprawić?

Wszechmocny śmieje się w głos.

- A co ty myślałeś, synu? Że nie ma u mnie stadionów?

I zaczyna się. Sztaby trenerskie, lekarze, fizjoterapeuci, rezerwowi zbierają przeróżne akcesoria i przenoszą się na rajski stadion. Kadrowicze obu krajów zmieniają koszulki na świeże i rozpoczynają szybką rozgrzewkę. Rzesze kibiców przemieszczają się na trybuny, ze strony Niemców pobrzmiwa gromkie „Lu Lu Lu Lukas Podolski”, Polacy odpowiadają okrzykami w stylu „drżycie rywale – nadchodzi Ebi Smolarek!” i we wszystkich wstępują nowe, niespożyte siły.

A my z Wojtkiem wciąż szukamy naszych lodówek. Trochę się tu teraz przeredziło, bo każdy chce zająć jak najlepsze miejsce. Stadion Boga jest fajny, bo zmieszczą się na nim wszyscy. Zachodzę w głowę, jak On to skonstruował.

Przerzucamy kilogramy metalu, ale naszego sprzętu ani widu, ani słyhu. Dosięgam ręką czegoś, co przypomina moją kochaną, utraconą chłodziarkę, ale szybko uświadamiam sobie, że przecież nigdy nie zbierałem magnesów z Danonków, także prawdopodobieństwo, że ten egzemplarz należy do mnie, jest znikome. Depczemy piloty od telewizorów nowej generacji N i kilka takich wynalazków włącza się w pobliżu, ukazując widok zwany w niektórych kręgach bitwą mrówek. W innych, mniej obdarzonych poetycką wyobraźnią, po prostu szumem i brakiem obrazu. Na nic się zdała nowa generacja – wobec wieczności każdy równy. Mijam po drodze kosiarkę spalinową firmy Silver (trzeba być niezłym pasjonatą, żeby kosić trawę w niedzielę wieczorem...), czerwony skuter w zupełnie dobrym stanie, golarki, tostery, opiekacze...

- Szybciej, bo zacznie się bez nas! – ponagla mnie Wojtek.

I oto w tej chwili muszę przestąpić oczy dłonią, gdyż z naprzeciwka coś intensywnie emituje promienie. Podchodzę bliżej i z radości chce mi się ryczeć.

- To ona! To moja lodówka! - wyjmuję dwie butelki, wyskakuję w górę, przybijam piątkę z Wojtkiem, a on stoi osłupiały i gapi się w jej kierunku. – No co jest, brachu? Nie cieszysz się? Mamy ją, stary!

- Po... patrz – jąka słabo, wskazując palcem przestrzeń za moim cudownym przybytkiem.

Moim oczom ukazuje się jeszcze bardziej cudowny przybytek.

Rząd... nie, sto rzędów... nie, nie, setki tysięcy rzędów lodówek z każdym rodzajem naszego ulubionego trunku w środku ciągną się malowniczo przez pole przed nami. Aż trudno uwierzyć, że ten sam Bóg, który je tu ustawił, jako jeden z grzechów głównych uznał nieumiarkowanie w jedzeniu i picu.

To takie piękne.

Takie niesamowite.

Otwieram zębami obie butelki i jedną z nich podaję przyjacielowi.

- Zdrówko! – uśmiecha się on i pociąga z butelki obfity łyk złocistego napoju.

O tak, zdrówko!

Na wieki wieków.